Michel de Montaigne

O różnicy między uczonością a mądrością

[w:] M. de Montaigne, *Próby. Księga pierwsza*, tłum. T. Boy-Żeleński, Warszawa 1985, s. 249-252.

Jako rośliny dławią się od zbytku soków, a lampy od zbytku oliwy, takież ma oddziaływanie i na ducha zbytek nauki i substancji. Umysł napełniony i zaprzątnięty tyloma i tak rozmaitymi przedmioty, traci zdolność rozeznania się w nich: ciężar przygniata go i dusi. Ale bywa też inaczej; dusza rozszerza się w miarę, jak się napełnia: widzimy na przykładach ze starożytności, iż całkiem przeciwnie, ludzie bardzo znakomici w kierowaniu spraw publicznych, wielcy wodzowie i statyści, byli zarazem wielkimi uczonymi. […]

Wobec sposobu, w jaki odbywa się nasza nauka, nie dziw, że ani uczniowie, ani mistrze nie porastają w rozum, mimo iż porastają w wiadomości. W istocie cała troska i wydatki naszych ojców mierzą jeno ku temu, aby nam naładować głowę wiedzą: o kształtowaniu pojęcia i charakteru ani słychu. Krzyknijcie w tłumie o jakimś przechodniu: „O, cóż za uczony człowiek!", o drugim zasię: „O, cóż za dobry człowiek!". Nie omieszkają wszyscy skierować spojrzeń i podziwu ku pierwszemu. […] Wywiadujemy się skwapliwie: „Czy umie po grecku, po łacinie? Czy pisze wierszem czy prozą?". Zasię czy stał się lepszym albo roztropniejszym, co przecież jest główną rzeczą, to pozostaje na ostatnim miejscu. Słuszniejsza byłoby pytać, kto jest lepiej, a nie kto więcej uczony.

Pracujemy jeno nad tym, aby napełnić pamięć, pojęcie zaś i sumienie zostawiamy próżne. Tak samo jak ptaki bieżą niekiedy wyławiać ziarno i niosą je w dziobie, nie kosztując, aby nim nakarmić młode, tak nasi bakałarze dziobią naukę po księgach, chwytając ją jeno koniuszczkiem warg, aby ją znowu wypluć i puścić z wiatrem. […] Ale, co gorsza, uczniowie ich i ich progenitura również nie karmią się tą wiedzą ani mają

z niej pożywienie. Ot, przechodzi z ręki do ręki jedynie po to, aby z niej czyniono popis, napełniano nią uszy drugiemu i układano opowiastki; rzekłbyś owe próżne liczmany niezdatne do żadnego innego użytku, sposobne jeno, aby je liczyć i precz miotać. […] Umiemy mówić: „Cycero powiada tak a tak; oto mniemanie Platona; to własne słowa Arystotelesa": ale my, cóż mówimy my sami? Co myślimy? Co robimy? Toż samo potrafiłaby i papuga.

Ten obyczaj przywodzi mi na pamięć bogatego Rzymianina, który z wielką troskliwością i kosztem wyszukiwał ludzi biegłych we wszelakim rodzaju nauk i trzymał ich koło siebie; i kiedy mu się nadarzyła okazja między przyjaciółmi rozprawiać o tym lub owym, oni występowali za niego i byli w gotowości dostarczyć mu ten jakąś rozprawkę, ten znów wiersz z Homera, każdy wedle swej profesji. Uważał tę wiedzę za swoją własną, skoro mieściła się w głowie jego ludzi. Podobnie mniemają ci, których wiedza mieści się w ich wspaniałych bibliotekach. […] Chcę się uzbroić przeciw obawie śmierci? Dzieje się to na koszt Seneki. Chcę znaleźć jakąś pociechę dla siebie lub przyjaciela? Zapożyczam jej u Cycerona. Byłbym ją znalazł w samym sobie, gdyby mnie w tym wyćwiczono. Nie lubię tej pożyczonej i wyżebranej mądrości; choćbyśmy nawet mogli stać się uczonymi uczonością drugich, mądrzy możemy być jedynie własną mądrością.